Dwór,
w którym zaklęta jest
historia

Tułowice. Oczekiwanie na Wigilię, fot. arch. A. Novák-Zemplińskigo

Z malarzem Andrzejem Novák-Zemplińskim, o dworze w Tułowicach, rodzinnych tradycjach i artystycznej pasji – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Jako malarz zadebiutował Pan w spektakularny sposób. Jest rok 1975 i Mistrzostwa Europy w Powożeniu Zaprzęgami Czterokonnymi w Sopocie. Przyjeżdża wielu, wywodzących się z dawnych ziemian, dyrektorów stadnin ogierów. W imprezie bierze udział tak utytułowana osoba, jak książę Filip, mąż brytyjskiej królowej Elżbiety II. Konkursowi towarzyszy wystawa obrazów czołowych polskich malarzy, ze zbiorów narodowych w Biurze Wystaw Artystycznych. Pan, wówczas jeszcze student Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, przyjeżdża na Mistrzostwa, aby malować konie i przywozi trzy swoje obrazy, które wzbudzają duże zainteresowanie. Jak z perspektywy czasu wspomina Pan swój debiut jako malarza koni?

Andrzej Novák-Zempliński: Wtedy już krystalizowały się moje zainteresowania tematyczne – choć byłem jeszcze pod wpływem akademii i stąd próby usprawiedliwienia się wobec współczesności. Dlatego te pierwsze prezentowane obrazy z

końmi były w bardzo syntetycznej formie i w prawie abstrakcyjnej przestrzeni. Były to trzy ujęcia koni widzianych z kozła – czwórka gniada, kara i siwa. Rzeczywiście obrazy te wzbudziły spore zainteresowanie, jeden z nich trafił na okładkę magazynu „Koń Polski”. Wcześniej, na dorocznej wystawie w Akademii, ten właśnie obraz zdecydowanie bulwersował – konie na Akademii? – to prawie bezczelność. Byłem wprawdzie studentem profesorów Michała Byliny i Ludwika Maciąga, co by mogło takie wybory tłumaczyć, ale bez przesady, na uczelni obowiązywały zupełnie inne trendy. Zacząłem więc płynąć pod prąd.

JSG: Skąd u Pana zainteresowanie malarstwem tradycyjnym?

ANZ: Zawsze fascynowała mnie sztuka dawna i jej weryfikowalny poziom warsztatowy, finezja operowania kolorem i formą. Z racji moich końskich pasji, szczególnie interesowała mnie sztuka związana z tematyką hippologiczną, batalistyką i łowiectwem, reprezentowana przez naprawdę wielkich twórców, ale też przez tych mniejszych, również z kręgu prymitywistów, mieszczących się w nurcie określanym w Europie zachodniej jako *sporting art*. Ten nurt żyje nadal nie bardzo przejmując się tym, co się dzieje w galeriach sztuki nowoczesnej Nowego Jorku, Paryża czy Londynu – ma swoje galerie, wystawy i wierny krąg odbiorców.

Andrzej Novák-Zempliński. Autoportret, fot. Marcin Sokołowski

JSG: Jaka grupa odbiorców jest zainteresowana malarstwem w dawnym stylu?

ANZ: Odbiorcami są przede wszystkim miłośnicy koni, hodowcy, sportsmeni, ale również zwolennicy tradycyjnych form sztuki, dla których nie pozostają one zamkniętymi rozdziałami i zasługują na kontynuację. Wśród moich odbiorców dominowali oczywiście hodowcy i właściciele koni, często bardzo wybitni i powszechnie

znani, głównie z USA. Dlatego najwięcej moich obrazów pozostaje w Ameryce.

JSG: Jak zapatrują się krytycy na bycie wiernym dawnym technikom i tematom?

ANZ: Krytyka raczej tym się dziś nie zajmuje. Jest częścią dość skomplikowanego, współczesnego rynku sztuki i jej zadaniem jest ocena nowych trendów z oczywistymi „intelektualnymi przewagami". Raczej boczy się na takie zjawiska, jak powroty do tradycyjnych form warsztatowych, uważając, że za tym stoją komercyjne motywacje. Tak też uważa wielu moich kolegów ze studiów, którzy poświęcili się sztuce „prawdziwej". Ja, na szczęście, nie muszę tłumaczyć, o co chodzi w moich obrazach i wsparcie krytyki nie jest do istnienia mojej sztuki niezbędne. Staram się być wierny sobie i raz wytyczonej drodze, która stanowi dość spójną całość z życiem rodzinnym, pasjami i aktywnością społeczną.

Andrzej Novák-Zempliński w bibliotece w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

JSG: Proszę opowiedzieć o Pana rodzinnych tradycjach ziemiańskich i podkrakowskich dworach.

ANZ: Mimo, że urodziłem się po wojnie, miałem jako dziecko szczęście poznać autentyczne życie polskiego dworu. Dwory w Glanowie i Tarnawie, w wyniku przedwojennej reformy rolnej, stały się resztówkami i stalinowski dekret je ominął, choć nie bez szykanów nowej władzy.

Domy te za życia moich stryjów żyły jak dawniej, a rytm tego życia określało funkcjonowanie gospodarstw rolnych. Pozostające od długiego czasu w rękach rodziny, wypełnione były pamiątkami wielu pokoleń i specyficznym klimatem tradycji właściwej siedzibom ziemiańskim. Tam spędzałem wakacje, najchętniej w stajni. Dziś w rękach moich braci stryjecznych pozostają już tylko domy z założeniami ogrodowymi. Dla mnie były zawsze wzorem rodzinnego gniazda.

JSG: Czy Pan i Pana żona Aleksandra, absolwenci warszawskiej ASP, szukali unikalnego, jak na owe czasy, miejsca do zamieszkania, czy też trafili Państwo na Tułowice przypadkiem i wtedy powstał pomysł, żeby tu stworzyć dom?

ANZ: Z Tułowicami nie było przypadku, ale zanim do tego doszło, był pomysł zamieszkania w rodzinnym Glanowie. Po śmierci stryja przez jakiś czas nie było pomysłu na dalszą egzystencję domu, stąd wyszła oferta z naszej strony – sytuacja jednak wkrótce zmieniła się, ale pomysł z osiedleniem się na wsi miał swoją kontynuację. Zaczęliśmy poszukiwać opuszczonego

obiektu zabytkowego do zagospodarowania w okolicach Warszawy. Takich obiektów było wiele w związku z ofertą tak zwanej Giełdy Zabytków. Nie była ona jednak w tamtym czasie adresowana do prywatnych inwestorów. W naszych poszukiwaniach trafiliśmy do Tułowic i one nas urzekły, mimo katastrofalnego stanu budynków i zaniedbanego ogrodu. Złożyliśmy ofertę kupna obiektu w miejscowej gminie – i zaczęło się. Negocjacje z „władzą ludową" trwały ponad trzy lata, gdyż w jej ocenie była to niecna próba restytucji życia dworskiego w fazie „budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego".

Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski

Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski

Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski

JSG: Dwór w Tułowicach był wówczas w opłakanym stanie. Magazyn nawozów sztucznych i śmietnik, nie każdego zachęciłby do adaptacji niegdyś pięknego, klasycystycznego obiektu. Co Państwa najbardziej urzekło w tym miejscu?

ANZ: Urzekła nas przede wszystkim architektura domu, jego proporcje, rytm, harmonia, detal – doskonałe dzieło klasycyzmu w wydaniu niewielkiej wiejskiej rezydencji. Wszak przypisywane jest Hilaremu Szpilowskiemu, jednemu z czołowych architektów epoki. Otaczający dom kilkuhektarowy ogród dopełniał urodę

miejsca, choć jego zalety można było dostrzec jedynie oczyma wyobraźni. Na naszą decyzję wpłynęła też lokalizacja i dalsze otoczenie o wyjątkowych walorach historycznych i krajobrazowych – Brochów, Żelazowa Wola, Czerwińsk, dolina Bzury i Wisły oraz Puszcza Kampinoska. Obiekt nie był przesadnie wielki, wydawał się do ogarnięcia jako dom rodzinny oraz spokojne i ciche miejsce pracy.

JSG: Jaką wizję mieli Państwo odbudowując ten obiekt?

ANZ: W początkowej fazie naszych starań, wizja tego miejsca odnosiła się do prostej idei własnego domu. Natomiast następstwa kilkuletniej walki o uratowanie go od zagłady nadały tej idei znacznie szerszy wymiar – pewnego symbolu przetrwania, tak w sensie historycznym jak też kulturowym. Sytuacja jeszcze w dobie PRL-u uświadomiła nam, że chodzi o znacznie większą wartość, dlatego napotkaliśmy na taki opór władzy. Wszak był to pierwszy przypadek oferty kupna z zasobów skarbu państwa obiektu zabytkowego na cele prywatne. Mieliśmy jednak zdecydowanych sojuszników w tej walce, głównie w służbach konserwatorskich, ale też wielu przyjaciół, którzy wiernie nam kibicowali. Gdy opór władzy został w końcu przełamany i akt kupna sfinalizowany, stanęliśmy przed naprawdę poważnym zadaniem – odbudowy obiektu i tchnięcia weń nowego życia. Koncepcja projektowa dojrzewała już od kilku lat wraz z wykonaniem inwentaryzacji, badań, kwerend

archiwalnych i kontaktów personalnych dla zebrania wyjściowego materiału historycznego oraz porównawczego. Ostateczna wizja dojrzewała równolegle z pracami budowlanymi, które zajęły kilkanaście lat.

JSG: Teraz dwór jest pełen przedmiotów, w których zaklęta jest historia. Proszę opowiedzieć, jak powstawały zbiory.

ANZ: Zbiory i wyposażenie domu było realizacją pewnych programów użytkowych, estetycznych i treściowych, jakie wykrystalizowały się w trakcie projektowania i budowy. Z założenia nie była to próba reanimacji historycznego obiektu, a raczej realizacja naszych potrzeb użytkowych i estetycznych, oczywiście z wielkim poszanowaniem dla historii, stylu i pierwotnego programu. Dlatego właśnie uzyskaliśmy efekt autentyzmu, bowiem nasz dom niczego nie udaje – jest domem żyjącym, z czytelnymi funkcjami poszczególnych pomieszczeń i dostosowanymi do nich programami estetycznymi oraz przekazem treści – historycznych, patriotycznych i tradycji rodzinnej. Były to jednak nasze wybory, wynikające z potrzeb, aspiracji i możliwości. Oczywiście tradycja dawnych domów rodzinnych, tych już nie istniejących jak w Parkoszu, Pieskowej Skale czy Gotkowicach i tych żyjących, w Glanowie i Tarnawie, znajduje tu swoją kontynuację.

Andrzej Novák-Zempliński w tułowickiej Powozowni, fot. Marcin Sokołowski

Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

JSG: Stworzył Pan też kolekcję pojazdów konnych. Kilka z posiadanych przez Pana pojazdów pochodzi z rodzinnych majątków. Jak Pan na nie trafił?

ANZ: Moje zainteresowanie pojazdami konnymi datuje się od czasu, gdy poznałem pana Zbigniewa Prusa-Niewiadomskiego, wybitnego znawcę przedmiotu. Przez niego zainspirowany, postanowiłem zabezpieczyć pojazdy, które pozostały w Glanowie i Tarnawie, już jako sprzęt bezużyteczny i zapomniany. Te pięć pojazdów stało się zalążkiem przyszłej kolekcji. Pomysł na dalszy jej rozwój zrodził się wraz z Tułowicami i możliwością adaptacji do tego celu zrujnowanej dawnej stajni. Dziś liczy ona 24 pojazdy i jest unikatową w skali kraju, bowiem programowo gromadzi pojazdy związane z tradycją polskiego dworu.

JSG: Który z powozów uważa Pan za najciekawszy?

ANZ: Nasz zbiór stanowi podstawowy przegląd typów pojazdów konnych używanych w polskich dworach na co dzień i na specjalne okazje, czy też sportowe. Każdy cenię za jego indywidualne walory, ale najbardziej te, które w polskich zasobach są absolutnymi unikatami. Do nich należy nasz rodzinny powóz typu milord – jedyny zachowany produkt renomowanej warszawskiej firmy Jana Stopczyka, w XIX wieku jednej z największych w stolicy. Jedynym zachowanym w Polsce faetonem krajowej produkcji jest pojazd wykonany w firmie Jana Korby w Zamościu dla majątku Kamienna w Powiecie Buskim. W remoncie pozostaje jeszcze ośmioresorowa kalesza firmy John Hutton & Sons, Dublin, jednego z dostawców dworu angielskiego. To prawdziwe cymelium kolekcjonerskie. Natomiast moim osobistym pojazdem sportowym jest faeton znakomitej firmy szwajcarskiej Geissberger, Zürich z początku XX wieku, który nabyłem i wyremontowałem dla możliwości użycia go w konkursach tradycyjnego powożenia czy też tzw. *pleasure driving*.

Dyplom Europa Nostra wisi na ścianie w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

Kaplica w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

JSG: Dwór w Tułowicach restaurowany przez Państwa z miłością i poświęceniem przez wiele lat, doczekał się prestiżowej nagrody Europa Nostra. Proszę o tym opowiedzieć.

ANZ: W 1999 roku uczestniczyłem w konferencji organizacji Europa Nostra w Glasgow, gdzie zostałem przedstawiony księciu Henrykowi, małżonkowi królowej Danii – ówczesnemu Prezydentowi EN, oczywiście jako właściciel odbudowanego obiektu zabytkowego z Polski. Książę Henryk był świeżo po lekturze artykułu o Tułowicach w anglojęzycznej edycji magazynu „Dom i Wnętrze” i zasugerował, bym zgłosił obiekt do

konkursu Europa Nostra na najlepiej odrestaurowany obiekt historyczny. Obecny przy tym prof. Jacek Purchla z Krakowa (aktualnie przewodniczący sesji UNESCO) uznał, że jestem tym samym zobligowany do zgłoszenia Tułowic do konkursu, więc musiałem stosowne *dossier* przygotować i wysłać. Z pośród 120 zgłoszonych obiektów z 30 państw europejskich Jury konkursu nagrodziło medalami osiem – wśród nich dwie królewskie rezydencje, Zamek Windsor i Pałac Christiana VII w Kopenhadze, dwa obiekty z listy UNESCO i… skromny polski dwór w Tułowicach. Był to piąty medal przyznany polskim zabytkom, ale pierwszy obiektowi w rękach prywatnych.

JSG: Rozumiem, że obiekt wzbudza zainteresowanie. Przecież historia i tradycja wyczytana z książek, to nie to samo, co możliwość w XXI wieku przeniesienia się do innej epoki.

ANZ: Zainteresowanie dworem w Tułowicach jest niemałe. Mamy w naszej księdze gości wpisy z nieomal całego świata, nawet w tak egzotycznym języku, jak maoryjski. Zainteresowane są szkoły, organizacje społeczne, konserwatorzy, ogrodnicy i historycy sztuki, badacze dziejów i filmowcy.

W Tułowicach były realizowane plany filmowe i telewizyjne. Prawie żadna publikacja poświęcona dziejom polskich dworów nie pomija Tułowic.

Gabinet w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

Salon w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

JSG: Dwór to serce polskości, polskiej tradycji. Dla Państwa to też prawdziwy dom rodzinny. Czy trudno jest we współczesnym świecie stworzyć enklawę polskiej historii i kultury i żyć według dawnych wzorców?

ANZ: Nasze życie w Tułowicach nie jest bynajmniej archaiczne w formie. Korzystamy z wielu udogodnień współczesnej techniki, ale konsumpcyjny styl dzisiejszej egzystencji nie bardzo godzi się

z klimatem tradycyjnego polskiego domu. Staramy się w sposób naturalny wpisać się w tło, które własną przecież pracą stworzyliśmy.

JSG: Czy ten dom jak z marzeń, otoczony parkiem, zmieniający swój koloryt zgodnie z porami roku, z zapachem jesiennych grzybów, zapasami na zimę, bogatą biblioteką, fortepianem w salonie, pamiątkami rodzinnymi, starymi fotografiami, iskrzącym ogniem w kominku, z psami biegającymi wokół domostwa, jest miejscem zjazdów rodzinnych, spotkań, rozmów, czy wokół stołu gromadzą się bliscy? Czy tak sobie Państwo wyobrażali swoje życie, podejmując tak ogromne wyzwanie?

ANZ: Bez życia rodzinnego ten dom, nawet w najlepszej formie, byłby tworem martwym. Ważna jest też szansa na kontynuację, którą mogą zapewnić synowie, może nawet wnuki. Wtedy dopiero nabiera sensu cały nasz wysiłek, który nigdy nie był oparty na rachunku ekonomicznym – był i jest realizacją idei o szerszym znaczeniu, niż tylko dom rodzinny. Dlatego pozostaje nadal sporym wyzwaniem dla kolejnych pokoleń. Ale póki co rodzina gromadzi się często i myślę, że ceni sobie to miejsce. Spotykamy się również w gronie przyjaciół, organizujemy koncerty, czasami wernisaże. Staramy się dzielić tym, co osiągnęliśmy.

JSG: Jak wyglądają Święta Bożego Narodzenia w Tułowicach?

ANZ: Święta są jak najbardziej tradycyjne i bardzo rodzinne. Choinka do sufitu bogato ubrana, opłatek, biały obrus i pod nim sianko oraz tradycyjne, świąteczne potrawy. Oczywiście też kolędy. Przy stole wigilijnym w Tułowicach gromadzą się już cztery pokolenia.

Dwór w Tułowicach zimą, fot.arch. A. Novák-Zemplińskiego